

Rozmawia Aleksandra Pawlicka, Newsweek, nr 51-52, 20.12.2021-2.01.2022



Każdy potwór ma w sobie coś ludzkiego. Mnie zdarzyło się tego doświadczyć kilka razy - mówi Halina Birenbaum, pisarka i poetka ocalona z Zagłady

NEWSWEEK: Z czym kojarzy się pani Polska?

HALINA BIRENBAUM: To moje życie. Od początku do teraz. W Warszawie się urodziłam. Nie mam zdjęć z dzieciństwa, ale wiele pamiętam z najwcześniejszych lat. Ogród Saski, Łazienki, park Traugutta, gdzie chodziłam z mamą na spacer. Siadała na ławce i szydełkowała. Raz powiedziała: „Patrz, tam na ławce siedzi dziewczynka w twoim wieku. Idź, zapytaj, czy chciałaby się z tobą pobawić?”. Poszłam i zaproponowałam grę w klasy. Rysowałyśmy koła i kwadraty do skakania. Potem, około roku 1937, byłam w pierwszym oddziale szkolnym, już nie można było chodzić do Ogrodu Saskiego, bo bili Żydów. Uciekaliśmy też z Łazienek, gdy pojawiał się okrzyk: „Biją Żydów”. Pozostały plaże nad Wisłą. Dużo rzeczy pamiętam.

Powiedziała pani, że Polska to popioły i cmentarze.

- Przeszłam przez getto, Majdanek i Auschwitz i właśnie tam, gdy było już tak strasznie, że chwilami nie wiedziałam, czy ta Warszawa istniała w moim życiu naprawdę, czy tylko mi się przyśniła, myślałam sobie: jak to się wszystko skończy i będę znów w Warszawie, to będę miała wszystko z powrotem, wszystko, co miałam. Dom, rodziców, braci. A tego już nie było. Nie oznacza to jednak wyłącznie złych wspomnień. Polska to dla mnie przede wszystkim język. Chociaż wyjechałam w 1947 roku, przez całe życie używałam polskiego. W domu mówiliśmy z mężem zawsze po polsku. Dopiero gdy urodził się pierwszy syn, sześć lat po wojnie, to poczułam, że pierwsze słowa, które mówi się do niemowlaka, wypowiedziane po polsku będą obce w Izraelu.

A ja chciałam, żeby moje dziecko w swojej ojczyźnie nie czuło się obce. Dzieci rozumieją polski, ale nie mówią.

Co poczuła pani, gdy dowiedziała się, że jest w ciąży?

- Chciałam tego. Bardzo chciałam, ale najbardziej cieszyłam się, gdy dziecko już się urodziło. To mi pomogło. Gdy dziecko ssie pierś, wykrzywia usta, chłonie i musi się tak namęczyć, żeby nie wypuścić tej brodawki, myślałam: i oni takie dzieci zabijali. I te matki. Łączyło mi się to ze strychem na ulicy Miłej w Warszawie, gdzie mieszkaliśmy, zanim popędzili nas na Umschlagplatz. Na tym strychu rodziła kobieta i zatkali jej usta, żeby nie krzyczała. I żeby to dziecko nie krzyczało. Kiedy mnie urodziło się dziecko i robiło tak tymi usteczkami, to widziałam tamten strych i tamtą kobietę. Bo tak to u mnie już jest, że wszystko, co mi się dzieje dobrze albo źle, porównuję od razu do tego, co było wtedy.

Napisała pani w wierszu: „Moje życie zaczęło się od końca, najpierw poznałam śmierć, a potem rodzenie”. Chciałam zapytać, czy pamięta pani moment, w którym pomyślała: urodziłam się na nowo?

- Ja cały czas czekałam na jeszcze jeden dzień, na jeszcze jeden lepszy chociaż trochę dzień. Czasami dostałam ciut większą porcję zupy, czasami większy kawałek chleba. I każdego dnia czekałam na koniec wojny. Ale po wojnie też było bardzo ciężko. Od razu inne problemy. Odrodziłam się w tym sensie, że najpierw poznałam, jak burzą Warszawę, nasza ulica się spaliła, nasze mieszkanie stało się gruzowiskiem; potem w obozach widziałam, jak zabijają, nie rodzą, rodzenie było złem. Gdy siostra mojej mamy zaszła w ciążę, to pamiętam, że mama mówiła: „Jak ona ośmieliła się teraz być w ciąży?!”. W takim okropnym czasie. Czasie tylko śmierci, nierodzenia. Po czym wróciłam do Warszawy i zobaczyłam na ulicy dzieci, które gdzieś się przechowały, i nie mogłam tego zrozumieć. Gdy widziałam dziecko albo bardzo starą kobietę, to pierwszą moją myślą było: skąd oni się wzięli? Przecież takich zabijali. Napisałam o tym wiersz, że budują domy, rodzą się dzieci i nikt im tego nie wytyka.



Powiedziała pani w „Moje Lata - Wielki Shoah”: „Spotkałam swą wolność z pustką w sercu po przebytych dramatach w latach Holocaustu. Ogrom sieroctwa, ruiny, zgliszcza w powojennej Warszawie - nic wokół mnie i jakby we mnie”. Nazywała pani siebie „wypaloną staruszką”, choć w chwili zakończenia wojny miała zaledwie 15 lat.

- Wypaloną, ale pragnącą żyć. Ludzie chcieli się zakochać, podobać się sobie. Z każdym dniem, z każdym spotkanym człowiekiem odradzała się we mnie jakaś część życia. Zrobiłam się strasznie gruba, bo ciągle jadłam chleb. Brat, u którego zamieszkałam po wojnie, mówił, że bym nie przechodziła koło radia, bo jestem tak ciężka, że podłoga się trzęsie i nie będzie mógł słuchać wiadomości z Londynu. Kolega z klasy w powojennym gimnazjum pytał w żartach: „Halinka, ty weszłaś do klasy czy się wtoczyłaś?”. Byłam jak piłka. Strasznie się bałam, że nikomu się nie spodoba. Bo jestem gruba. Bo mogę kroić ten chleb, ile chcę.

To reakcja na lata głodu w obozach?

- Po ewakuacji Auschwitz, z marszu śmierci trafiłam do Ravensbruck, a następnie do Neustadt-Glewe i tam był straszny głód. Najgorszy ze wszystkich. Przez dziesięć dni nie dawali nam jedzenia, a potem jeden bochenek na dziesięć osób. Dzieliliśmy go sznurkiem. W środku cały kawał był spleśniały. Po wyzwoleniu rozdano nam paczki Czerwonego Krzyża, jedną na cztery osoby. W tej paczce były puszki mięsa, kawa, mleko w proszku i myśmy to wszystko od razu zjedli, i tę kawę, i ten proszek, i te puszki. Taka straszna biegunka po tym była. A jeszcze wcześniej, gdy Niemcy opuszczali obóz w maju '45, zamknęli nas po apelu w baraku na klucz. Patrzyliśmy przez okno, jak przebierają się w cywilne ubrania, i na koniec komendant miał przemówienie, że teraz będzie inny wróg i oni nie mogą nas ze sobą zabrać. Odchodzą, ale w kuchni, w magazynie jest dość jedzenia. I jeszcze gdy to mówił, przez okna baraków zaczęli wyskakiwać ludzie i biec do kuchni. Ja nie miałam siły, moja koleżanka pobiegła. Widziałam, jak złapała bochenek chleba i włożyła pod sukienkę. A potem przybiegła do mnie i mówi: „Masz, jedz. Chciałaś cały bochenek chleba”. Ugryzłam kilka kęsów i nie mogłam więcej. Myślałam, że całą piekarnię bym zjadła, a po kilku kęsach nie mogłam.

Ludzie, którzy przeżyli wojnę, często do końca życia bali się głodu i robili zapasy.

- Ja też tak mam. Zapasy cukru, mąki. W tym ostatnim obozie powiedziałam do Boga: jak będę miała co jeść, to już nigdy, przenigdy, w żaden Jom Kippur nie będę pościć. Potem syn, jak to dziecko, lubił chodzić koło bożnicy. Wracał do domu i pytał: „Dlaczego nie pościsz? Rodzice kolegów poszczą i mówią, że moi nie są Żydami”. Wtedy mu odpowiedziałam: „Ja już pościłam za was i za wszystkie pokolenia. Wy już pościć nie musicie”.

Jest pani osobą wierzącą? Ludzie, którzy przeszli przez Zagładę, nierzadko zwątpili w Boga.

- Ja też. W Auschwitz powiedziałam: nie ma nic. Pytałam samą siebie, dlaczego rodzice pościli? Dlaczego uczyli mnie o Bogu? Po co mama płakała, żeśmy grzeszyli? Mój blok 27 jest naprzeciw rampy, a z lewej strony w ostatnim rzędzie za drutami kolczastymi stoi krematorium, wysoki komin i widzę te tłumy z pociągu, a później już tylko te stosy ubrań i fotografii, smoczków i lekarstw, i słup ognia do nieba, dym i zapach palonego mięsa ludzkiego. I tak dzień w dzień przez dwa lata.

Obiecała sobie pani w obozie: jeśli skończy się wojna, wyjadę na bezludną wyspę.

- Pragnęłam być jak najdalej od ludzi, bo wszędzie było tak ciasno. W getcie nie można przejść przez ulicę, tak ciasno. W wagonach tak ciasno, że ludzie mdleli z braku powietrza. W łagrze na pryczach po 15 kobiet, a miejsca jest na trzy, cztery najwyżej. Wszędzie ten tłok, po zupe, po chleb. Ludzie się kłóca, wyszarpują sobie, przeklinają. Ja raz przeklełam. Miałam 13 lat, stałam w kolejce i nie dawałam się wypchnąć. I jedna Żydówka mówi do mnie: „Taka mała i tak się pcha, żebyś ty nie zdążyła dorosnąć”. Wtedy jej powiedziałam: „Żebyś ty umarła, bo już się nażyłaś, a ja jeszcze w ogóle”.

Przeżyła pani komorę gazową na Majdanku.

- Stałam z bratową w łaźni. Trzymałyśmy się za ręce. Nagie. Patrzyłam na natryski, z których miał iść gaz. I okazało się, że tej akurat nocy gazu zabrakło. Przeżyłam własną śmierć, ale to nie był jedyny raz. W Auschwitz, już prawie przed ewakuacją, Rosjanie byli blisko, trzy tygodnie do wyzwolenia, postrzelił mnie strażnik. Celował w serce, kula poszła bokiem i uszkodziła mi rękę. To był Nowy Rok 1945 roku. Do szpitala przyszedł esesman, który rozstrzeliwał najbardziej chorych. Stanął nad moim łóżkiem. Nie strzelił. Zapytał, co się stało. Zaczęłam opowiadać i on kazał obmyć mnie z krwi i posłał na operację. Zamiast zabić, uratował mnie, bo z tą kulą nie przeżyłabym marszu śmierci. Takie doświadczenia dają wiarę w człowieka. Każdy potwór ma w sobie coś ludzkiego. Mnie zdarzyło się tego doświadczyć kilka razy.

Dlaczego tak ważne było dla pani to, aby się dowiedzieć, jak zmarła bratowa, z którą trafiła pani z Majdanka do Auschwitz? Dopytywała pani, czy zmarła na pryczy, czy w komorze.

- Strasznie bałam się śmierci w komorze gazowej, gdzie człowiek się dusił. Wyobrażałam to sobie, myśląc o moim bracie Chilku, o mamie i tacie, którzy zginęli w komorach. Gdy dowiedziałam się, że bratowa umarła na pryczy, poczułam spokój. Kiedyś usiadłam i zrobiłam sobie resume mojego życia. Doszłam do wniosku, że najpierw poznałam śmierć, a potem życie.

Najpierw burzenie, a potem budowanie. Ale w Auschwitz, gdzie było gorzej niż w piekle, miłość także poznałam. Gdy zostałam postrzelona, poznałam sanitariusza. To była miłość prawdziwa, taka jak na filmach. Abram przeżył, ale umarł zaraz po wyzwoleniu. Byłam załamana, ale młoda. Trzy lata po wojnie, w kibucu, tańczyłam z innymi hebrajskie tańce.

Jak odnalazła pani drugiego brata po wojnie?

- Po wyzwoleniu z obozu w Niemczech ruszyliśmy dużą grupą od punktu do punktu. Dostawaliśmy przepustki i tylko dalej... dalej... Aż pewien wysoki rangą wojskowy, Żyd rosyjski, załatwił mnie i przyjaciółce miejsce w pociągu. Siedziałyśmy na podłodze wagonu. Obok nas Polak z Zielonki, który zaproponował nocleg w swoim domu, bo gdzie mogłybyśmy nocować tę pierwszą noc w Warszawie? To była duża rodzina. Wszyscy spaliśmy na słomie. Następnego dnia powiedział, że musimy iść z Zielonki na Pragę do komitetu żydowskiego i tam dostaniemy pomoc. Miałam półtora sandałka. To były drewniane podeszwy trzymające się na pasku. W jednym pasek się oderwał. W tym półtora sandałka poszłam do komitetu. Po drodze spotkałam brata. Zabrał mnie do siebie.

To ten brat, który przed wojną uczył panią pisać?

- Był bardzo srogim nauczycielem. Pochodzę z prostych ludzi. Ojciec był urzędnikiem w sądzie, przyjechał do Warszawy z Białej Podlaskiej, tu poznał mamę, kobietę z małego miasteczka, z Żelechowa, wdowę z małym dzieckiem. Jej pierwszy mąż zmarł na tyfus. Marek jest bratem od mamy. Gdy zaczęła się wojna, był studentem medycyny i moim wychowawcą we wszystkim. W getcie kazał mi układać zdania, a jak zrobiłam błąd, przepisywać po dwadzieścia pięć razy. Kazał czytać i opisywać własnymi słowami streszczenia. W domu mówiło się po żydowsku i po polsku, ale mama mówiła „żymno mi” zamiast zimno, ojciec „ci” zamiast „czy”, a brat dbał o naukę języka. Odrabianie zadań było każdego dnia jak kolacja. Sam czytał mi bajki Krylowa z morałami i ja szłam potem z tymi morałami przez całe życie. Mam 92 lata i pół i myślę, że te sześć zabranych mi lat nauki odzyskałam dzięki bratu.

Kiedy zaczęła pani pisać?

- W czasie wojny zobaczyłam otwarty worek z cementem. Oderwałam kawałek papieru i napisałam ołówkiem, jak widzę te pociągi i tych ludzi, i ten dym. Obok siedzieli pracownicy z budowy i jeden powiedział: „O! Ta, jak przeżyje wojnę, to napisze książkę”. Ale po wojnie od razu nie mogłam pisać. Chciałam, ale jakby wszystko ze mnie uciekło.

Musiało minąć 20 lat, żeby znów wszystko stanęło przed mną jak żywe. Powiedziałam wtedy do męża: „Jakby mnie przekroili na pół, to na stół wyszłyby ze mnie fotografie.

Tego, jak ja to widzę”. Usiadłam przy stoliku między kuchnią a łazienką, gdzie prałam bieliznę, i zaczęłam pisać. Na cieniutkich karteczkach. Tak powstała „Nadzieja umiera ostatnia”. W styczniu przyszłego roku ukaże się po portugalsku. To jedenaste tłumaczenie na język obcy. Ta sama pani z Brazylii tłumaczyła Wisławę Szymborską.

Jest pani żywym dowodem na to, że nadzieja umiera ostatnia.

- Napisałam w wierszu, że dobro nie jest słabsze od zła i ja jestem tego dowodem. Na początku zapytała mnie pani, z czym kojarzy mi się Polska, i cały czas myślę o tym pytaniu. Polska kojarzy mi się ze wszystkim, co najlepsze w życiu. Tu się urodziłam, tu poznałam język, w którym myślę i w którym piszę książki. I Polska mi te książki wydała, a one wyprowadziły mnie na świat. Stałam się pisarką. Poetką.

Zadebiutowała pani w 1967 roku.

- Poprosiłam Żyda z izraelskiej partii komunistycznej o pomoc i on dał mi list polecający do konsulatu polskiego. Wydawnictwo Czytelnik przyjęło książkę do druku. Zdążyli ją wydać trzy miesiące przed wojną sześciodniową, po której nastąpiło przerwanie stosunków dyplomatycznych między Polską i Izraelem. Pamiętam dzień, gdy przysłali mi wersję po korekcie, nie mogłam zasnąć. Przeczytałam i powiedziałam sobie: „Jestem szczęśliwa. Teraz mogę umrzeć, bo oni żyją już nie tylko we mnie”. W książce nie pisałam imion rodziców, tylko ojciec, mama, tak jak do nich mówiłam, bo przecież nigdy nie mówiłam do rodziców po imieniu.

Ta książka to pani świadectwo?

- Potrzeba świadectwa zrodziła się we mnie w czasie procesu Eichmanna, gdy mówili tylko o mordach. Jak zabijali, a nie mówili, jak żyliśmy w tej śmierci. A przecież myśmy żyli. Nie od razu wszyscy umarli. Przecież moja bratowa na krótko przed śmiercią, już prawie martwa, otworzyła oczy, gdy zaniósłam jej chleb, i powiedziała: „Halinka, ty przyszedłś do mnie”. Takie „przyszedłś

do mnie” nie interesuje historyków, ale ludzi interesuje. Potem w Izraelu poszłam do szkoły opowiadać dzieciom o tym, co przeżyłam. To nie było dobrze widziane, bo pierwszy premier Ben Gurion mówił, że został tylko ludzki kurz. Nie trzeba opowiadać o życiu w Zagładzie, ale te dzieciaki z powszechniaka słuchały mnie przez dwie godziny i nawet na pauzę nie chciały wyjść. Zaczęli więc zapraszać mnie do szkół, na przekór ministerstwu oświaty. Wtedy pomyślałam, że jeśli słuchają, to czytać też będą.

Na spotkania z panią przychodzi zawsze dużo ludzi. Co mówią?

- Kiedyś miałam spotkanie w izraelskim więzieniu i jeden więzień powiedział: „Teraz widzę, że to, co przeżywam, nie jest ciężkie w porównaniu z tym, coś ty przeszła”. Dostałam też list od dziewczyny z Polski, z Nowej Soli, która szukała do mnie kontaktu przez muzeum w Oświęcimiu. Napisała, że mając 14 lat, chciała popełnić samobójstwo, ale po przeczytaniu „Nadzieja umiera ostatnia” zrozumiała, że jej problemy nie są takie wielkie.

Jeszcze jedno uratowane życie?

- I znów w Polsce. Polska naprawdę jest dla mnie szczególnie ważna. Tu spotkał mnie zresztą największy zaszczyt. To było w 70. rocznicę wyzwolenia Auschwitz. Mój mąż był wtedy bardzo chory po wypadku samochodowym. Nie mogłam ruszyć się z domu, ale napisał do mnie dyrektor muzeum obozu: „Wiem, że masz trudności i nie będziesz mogła przyjechać, ale nie widzę tej uroczystości bez Ciebie. Możesz wrócić do domu od razu po przemówieniu, ja Ci to załatwię”. Już samo to było zaszczytem. A potem jeszcze uroczystość transmitowana i oglądana przez pół miliarda ludzi na całym świecie. Przemawiałam dziesięć minut. Wszyscy wstali, głowy państw, królowie. Tyle uznania.

Patrzy pani czasami na swój wytatuowany numer?

- Patrzę i się nim bronię. Zaciągam rękaw i mówię: „Tutaj byłam”. Kiedyś podczas wizyty w Berlinie był Kirchentag - dzień kościołów, masa ludzi. Byłam prelegentką, strażnik przy wejściu powiedział do mnie w tłumie: „Kartę, kartel”. Podwinęłam rękaw i powiedziałam: „To jest moja Karta”. Cofnął się ze strachem. Niektórzy więźniowie chcieli sobie ten numer usuwać, wycinać, dla mnie to moja historia. Moje życie. Numer 48693.

POŁTORA SANDAŁKA

Wpisany przez Aron Kohn, Hajfa – Izrael

Sobota, 22 Styczeń 2022 08:25 - Zmieniony Poniedziałek, 17 Styczeń 2022 08:30

Opracował: Aron Kohn - Hajfa, Izrael